

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 12. Poznań, dnia 20 Marca 1869. Rok. I.

Od Redakcyi.

Szanown. abonentów naszych upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty.

W MĘTNÉJ WODZIE.

Obrazki współczesne

przez **J. I. Kraszewskiego.**

> Wszystko to być może...
> ...a jednak ja to między bajki włożę.
> J. Krasicki.

Na zegarach miejskich zwolna wybijała dwunasta... południe... u biednych ludzi było już dosyć późno, u możnych ledwie się dzień zaczynał... Piękny jeszcze dzień późnéj jesieni.

W restauracyi hotelu, który chciał uchodzić za pierwszorzędny, a w istocie winien był swą wziętość niedostatkowi porządniejszych, służba zajętą była przygotowaniami ku obiadowéj porze. — Około pierwszéj bowiem ludzie staréj daty i niecierpliwych żołądków zaczynali się zbierać, poprzedzając elegantów dla przyzwoitości siadających do obiadu o trzeciéj, czwartéj i piątéj.

Salonik jadalny i dwa połączone z nim pokoje właśnie się uporządkowywały; chłopcy kłócąc się, nakrywali stoliki, ustawiali solniczki, wysypywali nagromadzony wczoraj popiół z podstawek, gdzie niegdzie opędzali pył zbyt widoczny. Oberkelner pan Karol, rozparty w fotelu paląc cygaro, czytał z przyjemnością Gazetę Narodową, trafiającą mu widocznie redakcyą i stylem do przekonania, jeden z kelnerów muskał się przed zwierciadłem, drugi zrzuciwszy ranny dezabilek, właśnie miał naciągnąć frak urzędowy — gdy drzwi szklanne od ulicy otworzyły się z brzękiem gwałtownym, znamionującym rękę niewprawną do władania niemi i młodzieniec bardzo przystojny, w czamarce, kapeluszu szarym, włożonym zamaszyście na bakier, z laseczką w ręku, pokazał się na progu.

Na pierwszy rzut oka służba poznała w nim przybywającego ze wsi syna obywatelskiego... Zdradzała go nieprzyzwoita godzina, w któréj nikt porządny, choćby był głodnym, jeść nie śmie, aby się nie skompromitować, a w dodatku powierzchowność sama dowodząca, że jeszcze pełen ufności w siebie nie otarł się o miasto, nie doznał zawodów i nie potrzebował kredytu...

Młodzieniec był aż popatrzeć miło, rumiany, hoży, świeży, silny, uśmiechający się do życia, z okiem pełném ognia, z usty koralowemi, z czołem wypogodzoném jak zwierciadło, odbijającém duszę spokojną... Patrząc nań, zdawało ci się, żeś słyszał muzykę jego serca, nucącego hymn żywota szczęśliwego, skrzydłami marzeń unoszącego się w przyszłość. — Młodzieniec był jeszcze w téj szczęśliwéj życia wiośnie, która, choćby chciała mieć tajemnice dla świata — nic w sobie ukryć nie potrafi; wszystko się z niéj zielonością i kwieciem na wierzch wydobywa. — Każdy kto chciał, mógł się w nim rozczytywać jak w otwartéj księdze.

Wszedł nieopatrznie na próg, spojrzał i zatrzymał się zmięszany.... Postrzegł, że nieświadomy obyczajów miejskich, narażał się na śmiech wpadając do dystyngwowanego zakładu gastronomicznego o godzinie zakazanéj... ale jak tu się było cofnąć... nie budząc śmiechu w służbie? Widocznie zrobiło mu się przykro, nie chciałby był uchodzić za parafianina... Ratując się spojrzał na zegarek — było ledwie pięć minut na pierwszą!

Już miał zawrócić, wyjść i byłby pewnie więcéj tu nie postał nogą, gdyby nie wielka przytomność umy-

słu pana Karola oberkelnera, który przeczuwając w przybyszu dobrą na przyszłość praktykę, (a miał oko nadzwyczaj trafne) — nie zbliżył się doń, chowając za siebie cygaro i nie powitał go ukłonem.

— Cóż to jest? jeszcze tak wcześnie! zawołał młodzieniec skłopotany — nie wiedziałem....

— Istotnie — jest cokolwiek za późno na śniadanie, a trochę zawcześnie na obiad, odparł uśmiechając się oberkelner, ale pan dobrodziéj zapewne ze wsi, chciałem powiedzieć z podróży — poprawił się — to nic dziwnego .. U nas obiad zwykle bywa gotowy około pierwszéj .. a gdyby się podobało tymczasem gazety przeczytać.... cygarko wypalić (mamy prima havannę)... albo li téż cokolwiek przekąsić??

Gość zawahał się nieco — ale grzeczność oberkelnera go zobowiązała, nie wypadało odmówić — poprosił o jakąkolwiek przekąskę, nim obiad będzie gotowy i zasiadł.

Oberkelner pochwyciwszy kartę na łokieć długą, zaczął wyliczać mnóstwo delikatesów, których wcale nie było, usiłując wdać się w rozmowę, ale otrzymał wolność podania co się podoba i zadysponował jednemu z kelnerów dla honoru domu przekąskę.... wcale wspaniałą. Przybyły chwycił dziennik do ręki i roztargniony począł go raczéj przewracać niż czytać... myślał wcale o czém inném. Pan Karol oberkelner, który lubił w wolnych chwilach czynić postrzeżenia, szczególniéj nad nowo przybywającymi, stanął z boku po za drzwiami — gdy chłopcy zwijali się około śniadania — i przypatrywał się bacznie szlachetnéj, wypogodzonéj twarzy młodzieńca... po któréj przelatywały myśli i wrażenia, tak wyraziście ją zmieniając, jak glinę plastyczną wprawna ręka mistrza ugniata.

Patrzał na gazetę nie czytając, a śnił nie wiem o czém, uśmiechał się, marszczył, zamyślał, ruszał ramionami, wstrząsał, choć w ogóle był z czegoś dosyć szczęśliwy — może iż w świat wyleciał do walki, do czynu, na zapasy z ludźmi, z myślami, z sobą samym... Kipiało w nim widocznie... Nie zważał wcale na podane śniadanie, z którém się obchodził z grubijańskim apetytem, tak że pan Karol pomyślał, iżby go lada czém można zaspokoić, bo pewnie co jadł, nie wiedział.

— A! tak to oni wszyscy bez mała ze wsi do nas przybywają, myślał sobie Karol, z politowaniem wpatrując się w gościa — rumiani, weseli, ochoczy, ale w jaki rok albo i prędzéj zobaczyć ich — a poznać trudno — oko zagasło, serce zwiędło, chmura nad czołem... Dobrze jeszcze gdy który zdobędzie się na siłę, zamiast na Łyczakowski cmentarz, powrócić na wieś, aby sadzić, kartofle i spożywać je — bez masła en robe de chambre.

Oberkelner był filozofem praktycznym — znano go z téj strony — byli nawet podejrzliwi, którzy go posądzali o pisanie pamiętników. Tego się on jednak najmocniéj zapierał.

Nie wiem, jak długo, urokiem młodości pociągnięty, byłby na swym posterunku obserwacyjnym wytrwał Karol, gdyby w drugim pokoiku, przez który od sieni tylko adepci i poufali goście wchodzić byli zwykli — nie zaskrzypiały drzwi. — Odwrócił głowę i postrzegł — cicho jakoś i oględnie wciskającego się, codziennego i wielce tu szanowanego (dla swych wpływów i stósunków) gościa, na widok którego z serwetą na ręku, z oznakami najgłębszéj uniżoności pospieszył.

Przybyły dał mu znak, kładnąc palec na ustach — aby nie podnosił głosu.

— Czy jest już tu kto u was?

— Jakiś młody człowiek, zdaje się, że ze wsi.

— To! to! a! odparł przychodzący, wieszając kapelusz i dając poznać, że go się zastać spodziewał.

Złożył potém lekkie paleto, które miał na ręku i poszedł do zwierciadła, pozornie dla przygładzenia włosów, w istocie dla rozpatrzenia się we własnéj fizyonomii.

Tak dobry strzelec przed polowaniem ogląda dubeltówkę.

Nie było tam tak dalece czemu się przypatrywać, bo Bóg go obdarzył rodzajem maski bez wyrazu na pozór. — Był to sobie człowiek, jakich tysiące mija się w ulicy, nie zwracając uwagi, podobny do pierwszego lepszego.

Twarz była pełna, włosy ciemno-blond, bakenbardy bez charakteru — oczy schowane pod brwi i powieki— całość ani odrażająca, ani pociągająca — obojętna. Ale właściciel tego niepociesznego materyalu umiał zeń zrobić, co mu się podobało. Było to dlań dobrodziejstwem natury, że mu dała tę fizys, tabula rasa, na na któréj on wypisywał ze sztuką wielką, co mu wypadło z okoliczności.

Wielki znawca fizyonomii byłby w zbiorze tych rysów, mogących uwieść swą obojętnością, wyczytał przymioty rzadkie... ale ukryte umyślnie i przysypane, jak się doły na wilki chrustem i liśćmi pokrywają. Nawet gęś, którą przywięzują dla zwabienia gościa — (dobroduszność i prostota) siedziała na czole i ustach. Zdawał się sobie prostym człowiekiem, a był — człowiek krzywy.

Spojrzawszy się w zwierciadło z zadowolnieniem (na twarzy nie znalazł śladów żadnych, któreby go zdradzić mogły), przybrał artysta wprawny minę poważną, człowieka chłodnego, wytrawnego, jakiego u nas ongi nazywano statystą.

Mój Boże, co się to z wyrazami dzieje! statysta dawniéj oznaczał polityka i męża stanu, dziś oznacza w teatrze owę gawiedź, która nic nie mówi i w pięciu reprezentuje tłum, a w dziesięciu armie niezwyciężone.

Strój skromny, ale przyzwoity przybyłego jegomości — nadawał się do wszelakiéj roli, bo nie mówił nic — mógł być zarówno szewcem i księciem.... surdut jego byłby nie protestował.

Zaczesawszy włosy, przyprawiwszy minę starannie, wziął gazetę niemiecką w rękę i miał wyjść do pierwszego pokoju, gdy oberkelner, zawsze troskliwy o interesa domu, zapytał po cichu:

— Czy pan co każe podać?

— Późniéj, późniéj.

Karol domyślił się, że tu szło o coś ważniejszego niż bifsztyk i obiecał sobie mieć oko na dramat, który miał się odegrać — prolog przed zwierciadłem, coś zapowiadał wyraźnie.

Pan Hilary Drabicki (pocóż byśmy dłużéj mieli taić nazwisko?) przestąpił próg zamyślony i wszedł do

głównego pokoju z gazetą, niby oczekując na kogoś — przeszedł się krokiem wolnym wzdłuż kilka razy, bacząc na to, ażeby oczów nie zwracać na młodzieńca. Za tarczę służyła gazeta. Młodzieniec ze swéj strony — postrzegł go natychmiast, zdawało się, że go poznał i ciekawie wpatrywał się w niego, nie spuszczając oka. Nie śmiał jednak, lub nie chciał go sam zaczepić.

Drabicki przespacerowawszy się i parę razy na ulicę wyjrzawszy przez szklanne drzwi, zadzwonił na kelnera.. Stawił się sam pan Karol.

— Nie było pana Izydora?

— Dziś? — nie było.

— Cóż to jest? Spojrzał na zegarek.. Miał tu na mnie oczekiwać w południe, już dobrze po dwunastéj, a jego niema.., niepojęta rzecz....

— Pewnie zaraz nadejdzie! szepnął Karol, starając się pocieszyć, poczém uznawszy się nie potrzebnym, wysunął się dyskretnie.

Drabicki zanurzył się w gazecie, niby jeszcze nie widząc młodzieńca, który mu się z nietajoną przyglądał ciekawością. Były chwile, zdawało się, że p. Drabickiego zainterpeluje, ale młodzieńczy strach go ogarniał i cierpliwie wracał do gazety, w któréj anonsa o szuwaksie wiedeńskim, restitutions-fluid, loteryi hamburskiéj i bonach szwajcarskich.... starał się zgłębić i wystudyować należycie. Nawet słodowy wyskok Hoffa, który codzień się inaczéj przebiera i żołądkami książąt panujących pociąga plebejuszów ku sobie — zabawił dobrą chwilę poczciwego młodzieńca....

Siedzieli tak, wcale wrzekomo nie wiedząc o sobie. Drabicki patrzał w okno i czekał, wyglądał napróżno tego pana Izydora, zbyt często spoglądając na zegarek; jakby mu było niesłychanie pilno.

Odegrawszy tę rolę oczekującego z talentem prawdziwego artysty, rzucił nareszcie niemiecką gazetę, ziewnął, padł na kanapę i w téj chwili dopiero przypadkiem dostrzegł sąsiada...

Jakby uderzony jego twarzą, począł się wpatrywać, uśmiechnął i nieśmiało, jakby oczom nie wierząc — odezwał się głosem słodyczy pełnym:

— A! czy nie pan Świętosław Młyński?

Młodzieniec zerwał się zarumieniony.

— Wszak pan.... redaktor Drabicki?

— Tak! do usług.... Cóż tu pan w mieścisku porabiasz?.. Poznałeś pan mnie!! Pamięta pan, miałem przyjemność widzieć go rok temu na wesołym wieczorku u Mecenasa.

— Tak, panie dobrodzieju, byłem mu prezentowanym... ale nie śmiałem się przypomnieć.. nie spodziewając się, abyś był łaskaw młokosa pamiętać....

Drabicki przybrał fizys rozczuloną....

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Hamletowskie pytanie.

„To Be, Or Not To Be!..“

Być?.... Albo nie być?.... I cóż to jest życie?....
Wśród ciemnéj nocy marzenie.... o świcie,
Wśród burz szalonych.... nadzieja pogody,
Wśród śnieżnéj zimy.... wiosny uśmiech młody!...
Życie, to miłość o skrzydle zbrukaném
Z hańbą na czole — uczuciem kłamaném....
To wiara, która dziwne cuda tworzy,
A pojąć nie chce jednéj prawdy Bożéj!...
Rozum szalony w bezgranicznéj dumie,
Co pytań ludzkich rozwiązać nie umie,
Nadzieja pewna przed wieków obliczém,
Żeś powstał z prochu — i że skonasz... niczém!...

* * *

Kwiatem na ziemię — młoda dusza spływa —
I świat ją wabnie ku sobie przyzywa,
Śnieżyste ku niéj wyciąga ramiona,
Lubieżnie pieści i tuląc do łona,
Ponętne słowa poddaje dziecięciu
I młoda dusza lgnie w świata objęciu!....
A kiedy starte już barwy młodości,
Rozsiane skarby wiary i miłości,
Wszystkie marzenia mogiłą zawarte,
Świat w onczas drogi wskazuje.. otwarte!...
Rozmyka wrota doświadczenie smutne
I w kraje wiedzie nieznane, okrutne...
I idzie dusza o żebranym chlebie,
Bez żadnéj gwiazdy przewodniéj na niebie
Błądzi samotna, dokąd starczy siła....
Póki granicą — nie stanie.... mogiła!....

* * *

Żyć?... Albo nie żyć?.... Nie — nie pragnę życia,
Bo od samego młodych dni rozwicia,
Od pierwszych dźwięków rozbudzonéj duszy —
Świat — moje skarby — rozbija i kruszy!....
Wiarę i miłość zastudził w mém łonie,
Cierniowym wieńcem opromienił skronie!....
Żyć?... Albo nie żyć?... I cóż da mi życie?
Gdy bicia sercu drugie nie odpowie bicie?...
Kiedym samotny na szerokim świecie,
Jak na pustyni porzucone kwiecie!...
Więc nie żyć!... skończyć, gdy wszystko wydarte,
Stawiłem życie!... i przegrałem kartę!..

* * *

Być?.. Albo nie być?.. I cóż to jest życie!...
To młodych marzeń — promienne przedświcie!
Porywy duszy — na skrzydłach tęsknoty,
To sen na kwiatach.... to dumań.... rój złoty;
Świetlane blaski różanego słońca....
Wiara bez granic.... i miłość bez końca....
Życie?... to skarby zmysłem nieujęte...
Wszystko — co wielkie, potężne i święte,
Wszystkie te kwiaty — co z Bożéj miłości
Ścielą się w drodze idącéj ludzkości!....
Rozum, co śledząc obłokowe lice,
Niebu i gwiazdom kradnie tajemnice..
Miłość, tuląca pod skrzydły białemi
Wszystkie nieszczęścia i troski téj ziemi..
Nadzieja w istność niczłamaną niczém,
Wieczna modlitwa przed Stwórcy obliczém!....
Więc żyć! Bo życie to praca.... to trudy
Ku światłom, prawdzie — prowadząca ludy!....

Warszawa, 1869. Alf*)

*) Autor kronik warszawskich w Sobótce.

Szkice Karpackie.

II.

Tatry (z ryciną).

Ziemia polska jest pod względem topograficznym przeważnie krajem rownin i pól; dopiero u samych południowych jéj krańców na pograniczu Węgier i Galicyi spotyka się oko podróżującego z potężném pasmem gór Karpackich, owemi olbrzymiemi grodami natury, co rozpostarte na przestrzeni przeszło stumilowéj w kierunku zachodnio-wschodnim, sięgają swemi kończyny aż do Siedmiogrodu i Wołoszczyzny.

Część tego pasma, najdaléj na północ wysunięta i najwyższemi piętrząca się szczyty — tworząca masę dziwnie poszarpaną i jakby odosobnioną od reszty Karpat — to Tatry! Z północnéj strony przypiera do nich Nowotargska dolina wraz z Białym i Czarnym Dunajcem; z południowéj zaś ścielą się u ich stoków krainy: Spizka, Liptowska i Orawska wraz z rzekami Popradem, Wagiem i Orawą.



Tatry.

Rycina niniejsza przedstawia widok Tatrów od strony północnéj.

Nie podobna w pobieżnym zarysie dać całkowitego i pełnego obrazu cudownych i okazałych tatrzańskich widoków: owych srebrnych, szumiących wodospadów, (Siklawe wody — źródło Dunajca) owych ogromnych szmaragdowych stawów, kąpiących w swych przezroczach olbrzymie postacie skał niebotycznych (Pięć stawów — Morskie oko), owych uroczych, malowniczych dolin — prawdziwych ustroni szczęścia i spokoju (Zakopane, Kościelisko), to znów owych strasznych i czarnych przepaści, wądołów i jam lub téż dziwnych postaci niektórych skał. (Mnich).

Kto się przedrze przez wszystkie stopnie tatrzańskich wyniosłości, kto pnąc się od najniższych przedgórzy po przez strome upłazy, nagie wirchy i turnie, sta-

nie wreszcie na najwyższym ich szczycie w krainie głuchego kamienia — wiecznego śniegu i orłów — ten zdumieje na widok tylu cudów przyrody i w uniesieniu zawoła:

„Boże, jak wielkie są twe dzieła, a człowiek szczęśliwy, który je oglądać może!“

W.

Narodowość w stósunku do kwestyi socyalnéj*)

przez Dr. **Karola Libelta**.

Chcąc poznać stósunek dwóch rzeczy do siebie, trzeba wpierw poznać każdą z osobna. A zatém na samym wstępie nastręcza się pytanie: co to jest narodowość i co to jest kwestya socyalna.

Poczynamy od ostatniéj. Socyalność jest wyraz obcy, pochodzi z łacińskiego societas, co znaczy, przełożone na nasz język, towarzystwo albo społeczność. Towarzystwo tak się ma do społeczności, jak część do całości. W społeczności mogą być rozliczne towarzystwa czyli stowarzyszenia, ale towarzystwo nie jest jeszcze społeczeństwem, które ma mniéj więcéj rozległe rozmiary np. społeczność ludzka, społeczność narodowa, społeczność gminna i t. p. Kwestya socyalna byłaby więc kwestyą nie tyle towarzyską, ile społeczną. Chodzi tylko o to, co pod nią rozumiemy.

Człowieka dawno już nazwano istotą towarzyską albo społeczną, chcąc przez to dać poznać, że człowiek nie może i nie powinien żyć w osobności, w odosobnieniu, ale że stworzon jest do towarzystwa, do społeczności, i że cała jego zasługa i cały cel życia jego na tém zależy, aby nie tylko żył w społeczności ale i dla społeczności, to jest, aby się przykładał do pomyślności tego społeczeństwa, w którém żyje i w jego szczęściu i dobrobycie własne szczęście i dobrobyt znajdował. Otóż w tym celu życia ludzkiego rozwija się już na samym wstępie kwestya społeczna, Żyć dla społeczności, jest to cel życia każdego jéj członka z osobna, a zatém jeden żyje dla wszystkich, a wszyscy dla jednego. W tém ogólném oznaczeniu kwestyi socyalnéj poznajemy już, że praktyczny rozwój téj zasady będzie nader trudny i że to będzie walka długa i nieustająca, dobijająca się tych praw dla wszystkich i dla każdego.

Za nim jednak bliżéj ją rozważymy, obaczmy, jakie to są niezbite dowody na to, że człowiek rzeczywiście jest istotą społeczną i że żyć powinien w społeczeństwie i dla społeczeństwa, w czém spoczywa jego wyższe od innych tworów żyjących przeznaczenie.

Niezbitym dowodem na to jest sam fakt rozwiniętych od niepamiętnych czasów na całéj kuli ziemskiéj uorganizowanych społeczności ludzkich. Ludzie nigdy i nigdzie nie żyli w rozproszeniu, ale łączyli się w gromady społem żyjące i do tego wspólnego życia uorganizowane.

Ale i sama natura dała człowiekowi środki i popędy do życia społecznego, to jest uzdolniła go do wyrobienia sobie mowy, wlała w serce jego uczucia, będące węzłami życia społecznego i obdarzyła go władzami rozumu, ażeby umiał tę społeczność, w któréj żyje, jak najlepiéj uorganizować dla swego własnego i powszechnego dobra.

Aby żyć w społeczeństwie, trzeba naprzód środka, za pomocą którego człowiek z człowiekiem mógłby się porozumieć. Tym środkiem jest mowa i każdy człowiek jest obdarzony narzędziami ustnemi do wyrobienia artykulowanych głosów, z których się wyrazy składają. Mowy każdy wyuczyć się musi. Języka ojczystego wyucza się już dzieckiem będąc od rodziców i tych starszych od siebie osób, które go otaczają. Wyuczyć się zaś mowy musi dla tego, że mowa nie jest i nie może być darem przyrodzonym. Jest ona wyrobem saméj społeczności, a że się wyrabiała pod różnemi stósunkami miejsca, osób i czasu, wedle różnych pojęć, nawyknień i wyobrażeń ludzi, ztąd jest to rzeczą przypadkową od tych różnych okoliczności zawisłą, jak się jaka mowa wyrobiła, ztąd wreszcie pochodzi wielość języków i narzeczy. A z każdego języka odgadniesz charakter narodu, który go wyrobił i odgadniesz całą skalę jego umysłowéj potęgi.

Zapewne w początkach zawięzujących się społeczeństw ludzkich, do których dzieje nasze nie sięgają, mowa była bardzo uboga w wyrazy. Porozumiewano się więcéj na migi, z rozwojem społeczeństwa rozwinęła się także i mowa i nabrała téj giętkości, tego bogactwa wyrazów, tego wdzięku i śpiewności, w jakich się dziś różne języki przedstawiają.

Nam jednak nie wchodzić, jakie były początki i jaki był rozwój mowy ludzkiéj, nam mowa ludzka jest tylko dowodem społecznego ludzi przeznaczenia, bo wyrobili sobie środek wspólnego porozumienia się i każdy człowiek, by najwięcéj upośledzony od natury, mocen jest drogą słuchu przyswoić sobie ten środek komunikacyjny, którym się łączy nie człowiek z człowiekiem, ale duch człowieka z duchem innych ludzi.

Jeżeli zwierzęta mowy sobie nie wyrobiły, choć im nie zbywa na organach do wydawania artykulowanych głosów i choć wiele gatunków zwierząt żyje w towarzystwie, pochodzi ztąd, że w zwierzętach nie ma tego wewnętrznego popędu do udzielania się społecznego, którym się społeczność ludzka podnosi i dźwiga, a który tylko daje duch, jednością istoty swojéj pociągany do każdego innego ludzkiego ducha. Zwierzęta zatém żyją w towarzystwie, ale nie żyją dla towarzystwa, dla zwierząt zatém nie ma i nie może być kwestyi socyalnéj.

Człowiek mężczyzna łączy się z człowiekiem niewiastą; węzłem miłości z nią połączony, spładza z nią dzieci i tworzy pierwszy zawiązek społeczeństwa, rodzinę. W rodzinie jest cel dwojaki, fizyczny i moralny. Pierwszy jest rozmnażaniem się rodzaju ludzkiego i ten cel jest nam ze zwierzętami wspólny. I zwierzęta parzą się i z wielką troskliwością rodzice wychowują młode aż do czasu, gdy podrosną i same o swoje wyżywienie starać się już potrafią. Ale tu kończy się stósunek rodziców do młodych. Od czasu ich rozłączenia się nie zna jedno drugie, a przynajmniéj nie pokaznje, aby je węzły rodzinne wiązały. Nie tak u ludzi. Rodzice nie tylko wykarmiają ale i wychowują dzieci, a wychowują dla społeczeństwa, zawczasu je sposobiąc na istoty społeczne, a węzeł rodzinny, na uczuciu miłości, przywiązania i wdzięczności oparty, trwa do śmierci.

Wszystkie te uczucia miłości, wdzięczności, przyjaźni, szacunku i t. p. są uczuciami społecznemi, są czysto duchowéj natury i dla tego tłómaczą się tak nieraz dziwne zjawiska miłości np. młodéj i pięknéj panienki do starego i brzydkiego mężczyzny — bo miłość spaja duchy nie ciała, a i każde inne uczucie wiąże szybko ducha z duchem. Na tych duchowych sympatyach, na tych duchowych potrzebach i warunkach opartą jest każda społeczność ludzi. Uczucia są to przyrodzone podniety społecznego życia, są to silne i nie dające się

*) Odczyt miany w lutym rb. w towarzystwie przemysłowców polskich w Berlinie.

rozerwać spoje społeczności. Gdyby ich nie było, społeczność wszelka rozwiązaćby się musiała na osobne atomy, a gdy są spotęgowane aż do uczucia, które poświęceniem nazywamy — uczucie święte i boskie, jakiego przykład szczytny mamy w Chrystusie i tylu jego naśladowcach, wtedy społeczność potężnieje jednością i w siły wzrasta niepokonane. Otóż znowu nawija się kwestya socyalna z moralnéj strony uważana, gdy człowiek nie tylko ma żyć dla społeczności, ale i poświęcać się dla niéj.

Rodzina jest jeszcze bardzo szczupłym zakresem społecznym, rozrasta się w koło rodzinne, koła te wiążą się ze sobą, młodsi przechodzą w służbę starszych, liczba ludności się zwiększa i powstaje pokolenie, jako wyższy stopień społeczności. Już w rodzinie ojciec był jéj głową, a jako taki jéj sędzią i zwierzchnikiem; w pokoleniu musi także być głowa i zwierzchnictwo z nią połączone, które się zwykle oddaje najstarszemu i najgodniejszemu zarazem. Jest to rząd patryarchalny. W rządzie występuje już rozum społeczny. Prawa są objawem tego rozumu.

Rząd niczém innėm nie jest, jak organizacyą społeczeństwa pewnego. Albowiem społeczeństwo jakiekolwiek ono jest, małe czy wielkie, aby się ostało, potrzebuje jakiejś organizacyi. Stósunki każdego pojedyńczego człowieka nie mogą zawadzać i przeszkadzać stósunkom innych ludzi, ujęte więc być muszą w pewne karby, czyli prawa i ustawy. Własność, będąca skutkiem pracy, musi być szanowana, bezpieczeństwo osoby, jego spokojności i mienia musi być utwierdzone, rodzina w prawach swoich naturalnych ograniczona, prawo pana nad sługą i prawa sługi do pana oznaczone, wynagrodzenie pracy zapewnione, wszelkie sprawy ogólnego interesu urządzone, jak np. cześć Boga, obrona przeciw zewnętrznemu i wewnętrznemu nieprzyjacielowi, wychowanie nowego pokolenia, rozstrzyganie sporów, prace wspólne podjęte dla ogólnego pożytku i t. p. Tém wszystkiem zajmuje się organizacya społeczności, a wykonawcami téj organizacyi są urzędnicy, czyli rząd. Jak się powiedziało, w pokoleniach, klanach, gminach odosobnionych rząd ten będzie skoncentrowany w ręku patryarchy, który dobierać sobie będzie urzędników do pomocy, ale już na tém miejscu się pokazuje, że rząd jest dla społeczności, nie społeczność dla rządu, że rząd tylko jest wypływem społeczności i ma obowiązek czuwać nad jéj bezpieczeństwém i dobrem i działać nie wbrew interesowi, ale w myśl interesu społeczności.

Otóż i tu znowu nawija się kwestya socyalna, jako stósunek społeczeństwa do rządu.

Czasy rządów patryarchalnych minęły niepowrotnie. Powstały społeczeństwa, rozległe miejscem, czyli krajem, jaki zajmują, i liczbą mieszkańców. W téj rozległości liczby i miejsca znikł charakter rodzinny i patryarchalny, a wybitnie uwydatnił się charakter społeczny. Cesarstwa, królestwa, księstwa, hrabstwa, wolne miasta — są to tylko różne nazwy na różne rozległości społeczeństw uorganizowanych, a rzeczypospolite, monarchie konstytucyjne lub samodziercze, oligarchie są różne formy organizacyi tych społeczeństw. Celem każdego rządu, jakikolwiek on jest, być powinno dobro i bezpieczeństwo tak całéj społeczności, jak każdego obywatela z osobna.

W takich obszarach społecznych musiał powstać podział pracy na najrozliczniejsze zatrudnienia, ztąd podział kapitału, czyli majątku społecznego w nader różnéj mierze. Wyrobiły się stany panujące i poddani, stany wolnych obywateli i niewolników, wyrobiły się kasty, wyrobiły stany więcéj lub mniej uprzywilejowane, jak szlachta, mieszczanie i chłopi, w najnowszych czasach wyrobił się stan kapitalistów i robotników, czyli dających robotę i potrzebujących roboty.

Otóż kwestya socyalna stała się na tém stanowisku przeważnie społeczną i zajmowała się z kolei zniesieniem kast, zniesieniem niewoli, pańszczyzny i wszelkiéj służebności zaciągowéj, zniesieniem przywilejów, cechów i wszelkich ograniczeń krępujących wolną pracę człowieka, ostatnia kwestya socyalna zajmuje się obecnie wyzwoleniem pracy z pod przewagi kapitału, który ją dotąd wyzyskiwał. Dzisiejszy ruch między robotnikami, czeladzią rzemieślniczą, między pracownikami we fabrykach, w ogóle między robotnikami na całém obszernėm polu przemysłowém i rękodzielném niczém innėm nie jest, jak walką pracy wyzwalającéj się z pod przewagi i nadużyć kapitału, a zatém niczém innėm, jak objawem kwestyi socyalnéj.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

AMERYKANIN.

Powieść z czasów Kościuszki

napisał **Wł. K. Wójcicki.**

(Dalszy ciąg.)

Po kilku dniach pobytu — to w Ihnatowicach, to u stryjenki, Raciborski przybył w ostatku na pożegnanie.

Tocia zapłakana doręczyła mu mały splot włosów ze swego warkocza dla Kościuszki: panna Brygida i Orlewska odpisy swoje. Matka prosiła pozdrowić wszystkich, a szczególniéj kochanego Amerykanina.

Na samém wyjezdném prezes zaprosiwszy go do swéj kancelaryi, oddał list zapieczętowany, ażeby go do własnych rąk jenerała złożył. Raciborski uradowany, pewny że w nim wiezie najlepsze lekarstwo na smutek i tęsknotę ukochanego dowódzcy, gnał co siły do Międzyborza.

XIII.

Po zachodzie słońca Raciborski przybywszy na leże, pospieszył wprost do kwatery jenerała i doręczył mu list, jako i dar chorążanki: ztąd pobiegł do Zaremby i Kniaziewicza, których uradował wiadomością o zdrowiu i odpisami ich bogdanek. Wrócił z równym pospiechem do domu i padł utrudzony, snem zmorzony.

Nazajutrz rano ze świtem przyszedł stary Jędrzej do Gila trębacza i pod wielką tajemnicą mu opowiedział, że się coś dziwnego działo w kwaterze Kościuszki.

— Jak tylko, mój kolego, (mówił sędziwy wiarus) młody kadet doręczył list naszemu jenerałowi, a ja wyczyszczony mundur przyniosłem do pokoju: widziałem jak załamał ręce, ciężko wzdychał, porwał się z kanapy i chodził niespokojny a blady jak chusta. Ja wyszedłem, ale stanąłem w ogródku za krzakami bzowemi tak, żem wszystko widział. Kilka razy brał ten list do ręki, wlepiał oczy i rzucał go na stół. Coś do siebie gadał, ale nie dosłyszałem słowa. Potém usiadł i długo, długo płakał jak bóbr rzewnemi łzami, aż i mnie łzy słone na wąsy spadły. Nie kładł się wcale do łóżka, ale tak przez noc całą to chodził, to siadał. Drugie kury

zapiały, kiedy chudziątko strudzone rzucił się na kanapę nie rozebrany i zasnął. Śpi jeszcze, a ja tu do was, kolego, przybiegłem na naradę; możeby co nasi panowie oficerowie w tém pomogli.

Trębacz zamyślony uścisnął rękę poczciwego starca, a sam pospieszył do Kniaziewicza, któremu opowiedział wiernie, co słyszał. — Ten nie tracąc chwili, stanął w kwaterze jenerała, ale już go nie zastał. Rano wsiadł był Kościuszko na konia i wyjechał za miasto.

Uchylił drzwi tylko przymknięte od sypialni Kościuszki: łóżko było nietknięte. Na stoliku leżał list otwarty i przy nim drugi adresowany do Tekli Żurowskiéj i jéj matki. Kniaziewicz przebiegł go szybko oczyma:

„*Teraz nie widzę sposobu po takim liście: na wspomnienie samo we mnie rozbudza krew. Dziękuję jednak za twoje łaski dla mnie, które w niewygasłej pamięci u mnie będą. Twój charakter, przywiązanie dla córki rzadkie, będzie przykładem wszystkim, a monument dla ciebie jest zgotowany w sercach wszystkich dobrze myślących. Twoja łagodność pokryje umartwienia różne, jednostajność umysłu będzie zawsze uwielbienia godną. Daruj, że tak późno poznałem twój sposób myślenia: tym spieszniejszym bym był całować twoje ślady. Żyj szczęśliwa i długo, a nagrodę znajdziesz, kiedy będziesz chiała. Mój Boże! co za myśl okrutna, abym rwać miał prawa natury i pomimo ojca wyrwać mnie kochną. Passyja to jemu dyktowała i odmieni się twarz we mnie na pogodę i jemu życzę z serca najpomyślniejszych momentów. A tyś serca mojego ożywienie i coś miała być słodyczą całego życia mego Teklusiu, daruj, że wyrazów stósownych nie znajduję w tym momencie, lecz z przytuleniem chustki do mych oczu skłaniam głowę moją do ucałowania twych nóżek z przywiązaniem stałym na zawsze.*

„*Nie podnaszaj mnie, ale podepcz wszystkie moje przyjaźni dowody, i utop w zapomnienie, moje dla ciebie kochanie odrzucony od ojca i od ciebie bydź muszę. Obraz jednak twój w mym sercu zawsze będzie, twym duchem oddychać będę i twym sercem żyć będę; gdzie się obrócę, cień twój śledzi mnie zawsze. Umysł napełniony objektem, we wszystkich widokach twój portret znajduję, a chociaż mnie czynisz nieszczęśliwym, niech ciebie znajdę najpomyślniejszą.* T. K. *)

Kniaziewicz zadumał się nad tym listem.

— Zawsze (myślał sobie) w téj szlachetnéj duszy tkwi rana, podejrzeniem zadana o podłość wykradzenia z domu rodziców téj, którą tak ukochał. Nigdy ból ten nie uspokojony! lada okoliczność odnawia go i oburzenie na nowo wzrasta. Więc to ostatnie twoje, mój jenerale, pożegnanie z tą, którąś ukochał tak czystą miością!

Wtém zatętniał podwórzec przed dworem i zsiadł ze zmęczonéj białonóżki Kościuszko. Kniaziewicz wybiegł naprzeciw niemu, a ściskając serdecznie podaną rękę, rzekł ze współczuciem:

— Jenerale! wiem wszystko, wszystko czytałem. Niech Bóg dobry ześlę pociechę na twoję boleść.

I wzruszony do głębi serca z opuszczoną głową odszedł.

Osmutniało nasze grono przyjaciół w Międzyborzu: Zaremba i Kniaziewicz, uszczęśliwieni pewną wzajemnością swoich kochanek, taili radość i cicho między sobą wspominali ich imiona. Czasem schodzili się razem do zwierzyńca doktora, który szanując boleść milczącą Kościuszki, w przechadzkach wieczornych nigdy nie wspomniał o przeszłości, a starał się zwracać rozmowę i uwagę na bieżące wypadki krajowe. Jakoż zachmurzał się coraz groźniéj horyzont polityczny. Głuche wieści z końcem sierpnia nadbiegły z Warszawy do Międzyborza o knowaniach tajnych w celu obalenia Ustawy Rządowéj 3 maja. Kościuszko z Kniaziewiczem w połowie żniwa wyjechali. Jenerał pragnął zobaczyć i odwiedzić miejsce swoje rodzinne w powiecie Słonimskim. Z rzewném uczuciem zroszonemi oczyma poglądał i powitał kolebkę swoję: ów dwór z podwójnym dachem w Mereczowczyznie, skromny ogródek i tę alkowę, w któréj go do snu pieśnią matka kołysała. Wspomnienie jéj przywiodło mu na pamięć i jego bogdankę, bo matce jego było także imię Tekla.

Obszedł dwór cały, ale zatrzymał się przed boczną alkową i powstrzymał Kniaziewicza.

Nie chódź tam Karolu: tam ściany jeszcze obryzgane krwią mojego ojca, który padł pod ciosami siekier morderców. Smutne i bolesne wspomnienie!*)

W ogródku usiadł zmęczony: pusto było we dworze, żadnéj znajoméj twarzy nie spotkał: wszyscy byli to nowi mieszkańcy i poglądali nań, jak na nieznanego przybysza.

Nad wieczorem opuścił Mereczowszczyznę i wrócił z przyjacielem do Międzyborza.

W kilka dni nadbiegł kuryer z depeszami od księcia Poniatowskiego. Ruch niezwykły ożywił milczące i spokojne miasto.

Od téj chwili adjutanci Kościuszki rozbiegali się w różne strony. Raciborski, awansowany na podporucznika, prawie nie zsiadł z siwosza, rozwożąc rozkazy jenerała do różnych komend w okolice Międzyborza.

Kowale na nowo przekowali konie kawaleryi i do zaprzęgów używane. Opatrywano troskliwie wozy amunicyjne i robiono przybory, jakby w pogotowiu się miano do prędkiego wymarszu. Kościuszko od świtu zajęty był to mustrą piechoty i jazdy, to sprowadzonéj artyleryi, która strzelała do tarczy z dział dla wprawy. — Gromady rekrutów rozdzielano pomiędzy pułki, ubierano i wprawiano w robieniu bronią, obrotach i maszerowaniu.

Pobudki trębaczy, odgłos bębnów mięszał się z salwą dział i ręcznéj broni. Kościuszko orzeźwiał w swym smutku: list swój, który czytał Kniaziewicz, przesłał chorążance do Ihnatowic. Kiedy po trudach całodziennych, odpoczywał w ulubionym zwierzyńcu Stakenszmitta, doktór na pół z uśmiechem na pół ze smutkiem, mówił:

— No! mój jenerale, coś nadchodzą czasy wojenne. Dym prochowy z waszych armat i karabinów przygłusza woń moich roślin i kwiatów. Oby Bóg ochronił nas od klęsk spodziewanych.

Kościuszko odpowiedział tylko westchnieniem głębokiém.

*) Podług autografu Kościuszki.

*) Ojciec Kościuszki, popędliwego charakteru, srogo obchodził się z włościanami swymi; ci oburzeni jego tyranią, przywiedzeni do rozpaczy, napadli dwór i zamordowali go w r. 1768. — (L. Chodźko. Życiorys T. Kościuszki).

XIV.

Rok 1792.

Przewidywania bliskiéj wojny spełniły się nie długo; z wiosną 1792 nad armią Rzeczypospolitéj objął główne dowództwo książę Józef Poniatowski. Kościuszce oddano jednę dywizyą. — W maju jenerał opuścił Międzybórz, biorąc kierunek wskazany po nad lewym brzegiem Bugu.

Zaszła bitwa dnia 17 czerwca pod Zieleńcami, w któréj miał świetny udział Kościuszko. Armia odebrała rozkaz cofania się. Kościuszko ze swoją dywizyą stanął pod Dubienką.

Prezes Żurowski z powodu przechodu wojsk i niepokoju opuścił Ihnatowice i przeniósł się do Zahajpola, małego folwarczku, który kupił w granicach Galicyi o dwie małe milki od Dubienki.

Dnia 17 czerwca równo z poranną zorzą huk dział i ręcznéj broni z nad Dubienki spłynął wyraziście po rosie i odbił się o drewniane ściany dworku w Zahajpolu, w prostym bowiem kierunku pole bitwy na milę nie było odległe.

Żurowski kazał sobie co prędzéj osiodłać konia i z dwoma kozaczkami podolskimi na dobrych mierzynach ruszył do pobliskiego lasu. — Zaraz za borem wznosiło się wyniosłe wzgórze, z którego rozległy był widok na całą okolicę, a Dubienkę widać było jak na dłoni. Na środku wyrastało kilka dębów starych rosochatych i jodeł wysmukłych.

Żurowski dojechawszy na to wzgórze, zawołał jednego luzaczka.

— Iwanku! wleź na ten dąb, a co zobaczysz, mów mi zaraz.

Zwinny Podolak w mgnieniu oka zawisł na wierzchołku, ale dla dymu z armat i ręcznéj broni, nic dokładnie widzieć nie mógł. Żurowski bliżéj sam podjechał i lepiéj mógł widzieć krwawą walkę.

Po siedmiogodzinnéj kanonadzie nieprzyjaciel rzucił się do ataku. Kościuszko ze swoją dywizyą, wynoszącą 4000 żołnierza, z dziesięciu działami, stanął pod Dubienką, prawe swe skrzydło oparłszy o graniczny słup Galicyi, lewe o brzeg rzeki Bugu. Słychać było straszny okrzyk licznego nieprzyjaciela, bo 18000 liczącego wojska. Okrzyki te tłumiły wystrzały armat i karabinów. —

— Iwasiu! zawołał niecierpliwy Żurowski, posilając się z borsuczéj torby, czy nasi się trzymają?

— Stoją jak dęby, panoczku! ani się razu nie zachwiali.

— Dzięki Bogu! On tam dowodzi — biedna moja Tocia i moja panienka. Pod Twoję obronę.....

I odmówiwszy modlitwę, zostawiwszy Iwasia na straży, sam pospieszył do domu. —

We dworze pusto było; wszystko co żyło, pobiegło na granicę. W pokojach pusto, tylko w sypialni przed obrazem Matki Boskiéj Częstochowskiéj klęczała matka z córką zapłakane i tak zatopione w modlitwie, że nie słyszały jego przybycia.

— Biją się jeszcze nasi— rzekł wzruszonym głosem, —Jenerał zdrów, żyje, wszystko ożywia, i trzyma się dzielnie. To prawdziwy bohater.

Tocia, która blada jak chusta klęczała, na te słowa poruszyła się żywo, wzrok jéj zajaśniał ogniem, rumieniec zbarwił oblicze.

Żyje! zawołała, żyje! dzięki Bogu. O mój Tadeuszu! zanosiłam gorące modlitwy do Opiekunki i Orędowniczki naszéj. —

— Moja panienko i ty, Tociu, przygotujcie szarpi i bandaży; nasz doktór z Międzyborza lada chwila przybędzie, jużem dawno posłał po niego konie rozstawione. Zbierzcie czeladź, nagotować strawy, bo czas do roboty. Ja jadę na granicę i niedługo wrócę.

W miarę, jak się zbliżał do lasu, okrzyki ustały, a strzały armatnie coraz się oddalały. Kiedy dojechał do wzgórza, Iwanko już się zsunął z dębu i ukazał drożynę przez las idącą. Żurowski poskoczył co żywo i ujrzał niesionego przez włościan krwią oblanego Zarembę, a przy nim idącego z obwiązaną ręką Raciborskiego.

— Petruk — krzyknął na kozaczka drugiego — prędzéj do dworu po moją brykę. Gnaj co żywo.

Sam przyskoczył bliżéj.

— Panie Józefie! czy żyje nasz rotmistrz?

— Zdaje się, bo oddycha jeszcze, ale ciężko ranny.

— Biedna Brygisia! —pomyślał sobie, gdy w téj chwili zatętniła bryka brocka i wyskoczyła z niéj panna Brygida w towarzystwie Toci.

Żurowski nie rzekł słowa, tylko ręką wskazał na rannego.

— Mój Stasio! krzyknęła z płaczem.

Ranny na ten głos znany otworzył oczy i poruszył ręką.

— Iwanku! — zawołał Żurowski — zrób posłanie w bryczce, położym rotmistrza. Opatrzony był na prędce, ostrożnie złożono go w bryce i przywieziono razem z Raciborskim. Na dziedziniec właśnie zajechał doktór Stakenszmitt; ten obejrzawszy rany Zaremby, rzekł kiwając głową:

— Rany ciężkie, ale wcale życiu nie grożą. Za parę miesięcy będzie zdrów jak ryba i stanie jeszcze ze swoją narzeczoną na ślubnym kobiercu.

Panna Brygida ze smętnym uśmiechem pocałowała go w ramię.

Raciborski miał lekko przestrzeloną lewą rękę. Zajęto się troskliwie rannymi. Nazajutrz przyszła wiadomość o świetném zwycięztwie pod Dubienką Kościuszki i cofnięciu się jego do Krasnegostawu. Kniaziewicz, Potocki i Kwaśniewski z téj krwawéj walki wyszli szczęśliwie. Nieprzyjaciel straciwszy do 4000 w zabitych i rannych, nie śmiał postępować śladami cofającego się zwycięzcy. Tocia, zajęta chorymi, orzeźwiała w swoim smutku; kilku jeszcze przybyło rannych żołnierzy, którzy znaleźli wygodny przytułek i opatrzenie. Doktór po tygodniu wyjechał w okolice i gdy go oczekiwano z utęsknieniem, przybył, ale wielce zmieniony i pomięszany. Dał znak Żurowskiemu i obaj wyszli do ogrodu.

— Wszystko przepadło—rzekł z icha—przelana krew daremnie! Król Jegomość przystąpił do konfederacyi Targowickiéj...

— To być nie może, zawołał Żurowski.

— Kiedy tak jest, mój prezesie, odrzekł Stakenszmitt i pokazał manifest Stanisława Augusta.

Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek nadzwyczajny.

DODATEK NADZWYCZAJNY
do No. 12 „SOBÓTKI."

Rok I. Sobota, dnia 20 Marca 1869. Rok I.

Żurowski zaledwie go przeczytał, rzucił z oburzeniem na ziemię i załamał ręce w niemej rozpaczy.

— Cóż robi książę Józef Poniatowski, co Kościuszko?

— Obaj, mówił doktor, podali się do dymisyi wraz z wszystkimi wyższymi oficerami. Trzeba ostrożnie i naszym rannym o tém powiedzieć; porucznikowi możesz prezes powiedzieć, a ja sam przygotuję rotmistrza. Zdrowie w tym człowieku żelazne: inny leżałby ze dwa, trzy miesiące, a ten po trzech tygodniach już zdrów będzie.

Zarówno Raciborski, jak Zaremba przyjęli tę niespodziewaną wiadomość z oburzeniem i bezzwłocznie podali się do uwolnienia. — Raciborski z ręką na temblaku, podziękowszy serdecznie gospodarstwu za pomoc i gościnność, wyjechał do Warszawy. Zaremba zaczął powoli podnosić się z łoża boleści. Już o swéj mocy chodził, gdy siedząc na ganku, posłyszał turkot bryczki i rżenie swego kasztana. Porwał się na nogi, a jakże się uradował, gdy zobaczył Janusza Gila trębacza, po cywilnemu przebranego, cztery swoje konie, a w dodatku dzielnego siwka Raciborskiego!

Po uspokojeniu się nieco w kraju prezes zamyślał wrócić się do Ihnatowic, a po ślubie siostry oddać Zarembie Zahajpole w dzierżawę za tak niską cenę, ażeby się prędko mógł czego dorobić. Na początku września wesele odbyło się ciche i w kółku rodzinném. Prezesostwo z córką w kilka dni odjechali, a państwo młodzi zabrali się do gospodarki.

Żurowski teraz stał się coraz czulszym dla córki, mówił z nią często o Kościuszce, układał plany, jakby na przyszłość marząc o połączeniu ich węzłem małżeńskim. — Ale Tocia teraz słuchała słów ojca coraz obojętniéj. a zasięgała starannie wiadomości, co się dzieje z jenerałem. Pomagała jéj do tego jéj przyjaciółka Orlewska, która mieszkając w Krakowie, donosiła, że widziała się z Kniaziewiczem i że Kościuszko, który wyjechał do Drezna, zawsze ją kocha, ale zajęty losami kraju, poszedł na dobrowolne wygnanie.

Rok następny 1793 przeminął w największéj ciszy: Z nowym rokiem 1794 zaczęły ciche i tajemne wieści obiegać kraj cały. a we wszystkich ustach było tylko imię Kościuszki. Orlewska donosiła z Krakowa, że pan Tadeusz spodziewany nie długo — że świetna gwiazda jego zajaśnieje blaskiem słońca, że powinna być dumną, iż człowiek taki ukochał ją i poświęcił jéj swe serce.

Tocia spoważniała wielce w obejściu: milcząca, na wspomnienia dawne, jakie ojciec teraz często przywodził, uśmiechała się smętnie, nic nie odpowiadając. Matka, zdziwiona tą zmianą widoczną, raz zapytała:

— Tociu! co ci jest? takeś się zmieniła

— Moja Mateczko! odrzekła, — nie zmieniłam się, tylko z wesołéj dziewczynki dojrzałam na kobietę myślącą, którą już osobiste szczęście nie zajmuje. On, bohater — dziś wygnaniec dobrowolny, wróci (mówiła cichszym głosem), a imię jego rozbrzmi się sławą nie tylko w Polsce, ale po całym świecie. On mnie kocha, a ja dumną jestem miłością jego i przy jego imieniu moje kiedyś może wspomną. Dojrzałam, moja mateczko, cierpieniem i bólem — dziś mnie nic nie obchodzi, tylko ścigam jego ślady, gdzie się obraca. Teklusia mi pisze, że wkrótce pojawi się w Krakowie — wtedy, mateczko moja, pospieszymy tam abym go chociaż z daleka zobaczyć mogła. Przyrzekasz to mi, moja droga?

— Dobrze moje kochane dziecię! — odrzekła zacna matrona, zanosząc się od płaczu.

XV.
Rok 1794—1800.

W skromnym dworze Zahajpola suty się palił ogień na kominie; siedząc przy nim i paląc fajkę drzémał rotmistrz Zaremba. Bliżéj okna siedziała jego żona na kanapie, kołysząc małego synka.

— Brygisiu złota! — rzekł rotmistrz — czy Janusz jeszcze nie wrócił?

— Nie mój, Stasienku, spodziewam się go dopiero najprędzéj jutro rano.

— Moja Brygisiu, przeczuwam, że mnie na apel zawołają, bo znowu się chmurzy na naszém niebie.

— Nie będę cię zatrzymywała, gdy powiesz mi: trzeba iść, Brygisiu.

— Brygisiu złota — mówił, powstawszy i siadając obok małżonki — Bóg mi dał wielkie szczęście, dając ciebie za żonę.

I całował ją i pieścił.

— A nasz Tadeuszek śpi jak suseł. Żeby tylko ojca pamiętał!

Westchnął ciężko i opuścił głowę na piersi.

— Nie było wiadomości z Ihnatowic?

— Bratowa z Tocią wyjeżdżają do Krakowa, tam bawi i Teklusia.

— Kniaziewicz i Potocki — mówił rotmistrz — siedzą tam oddawna. Ja czekam wiadomości od Raciborskiego. Czy wiesz, ożenił się, ma już syna i córkę, a dzieci tak piękne jak ojciec. Chowam mu siwosza zdrowo, może jeszcze go dosiędzie, jak ja mego kasztanka.

Kiedy domawiał tych słów, drzwi się roztwarły i wszedł trębacz Janusz. Brygida zadrżała, a rotmistrz zerwał się, przystąpił do niego i zapytał:

— I cóż nowego?

— Panie Rotmistrzu! już czas, wołają nas do apelu. Jutro konie będą gotowe i siwosz naszego porucznika. Oto rozkaz.

Zaremba odczytał pismo i rzucił na komin.

Żona z cicha przy kołyszce łkała.

— Brygisiu, złoto moje! łzy na stronę, tyś małżonka rotmistrza Zaremby. Zrób przybory, bo jutro z rannym brzaskiem hajda na koń i w pole! Janusz oczyść trąbkę swoję! Oddział jazdy niech się zbierze w lesie nad granicą, damy hasło ze wzgórza pod dębami.

Zaremba do północka pisał. Skreślił list z pożegnaniem do Żurowskiego, oddając pod jego opiekę żonę i syna, a na pamiątkę swemu pacholęciu napisał kilka wyrazów serdecznych.

Jak tylko świtać zaczęło, pożegnawszy płaczącą żonę, pobłogosławiwszy śpiącego syna, westchnął ciężko, przeżegnał się i ruszył w towarzystwie Janusza, w swój mundur ubranego, i czterech jeźdźców. Siwka Raciborskiego prowadzono luzem przy bryczce.

Gdy przybyli na toż samo wzgórze z którego Żurowski patrzał na bitwę pod Dubienką, Janusz zatrąbił pobudkę, a z lasu wysunęło się do stu jeźdźców, nad którymi objął Zaremba komendę i ruszył wolnego kłusa boczną ścieżką.

Było to w połowie marca 1795 roku. Równocześnie prezesowa Żurowska z córką dojeżdżała do Krakowa w towarzystwie tylko Walentego kredencerza.

Za przybyciem do dawnéj stolicy Jagiellońskiéj, stanąwszy w rynku, dały znać Tekli Orlewskiéj, która natychmiast przybiegła, ciesząc się serdecznie z ich przyjazdu. Nazajutrz Potocki i Kniaziewicz odwiedzili je wieczorem; czekali na Kościuszkę, o którym umyślnie rozpuszczono wieść że wyjechał do Ameryki. Tocia z bijącém sercem słuchała tych wiadomości.

Zaremba niedługo spotkał się z Raciborskim, któremu oddał siwka. Cały oddział, do 200 koni wynoszący, zwrócił drogą w Krakowskie.

W nocy z dnia 23 na 24 marca Kościuszko przybył do Krakowa. Uwiadomiona o wszystkiém prezesowa z córką raniutko przybyły do kościoła OO Kapucynów, gdzie w kaplicy Loretańskiéj w ciemnym zakątku stanęły. Wkrótce przybył Kościuszko z jenerałem Józefem Wybickim i tu poświęcono im szable. Wtedy po błogosławieństwie kapłana wznosząc swój pałasz Kościuszko, zawołał wzruszonym głosem:

— Daj Boże zwyciężyć lub umrzeć!

— Słyszysz matko jego przysięgę? — rzekła drżąca Tocia. — On ma inną teraz bogdankę, dla mnie wszystko się skończyło....

I padła krzyżem w gorącéj modlitwie.

Ukryta w oknie była świadkiem uroczystości ogłoszenia Kościuszki naczelnikiem narodu, a gdy wyruszył z miasta, co rychléj z matką wyjechała napowrót do Ihnatowic.

Żurowski po odebraniu listu rotmistrza pospieszył do Zahajpola, pocieszając osamotnioną siostrę. Zachęcał do wytrwania i nadziei, że Bóg jéj męża zachowa.

Wieść o zwycięstwie pod Racławicami dnia 4 kwietnia obiegła cały naród, poszły zatém klęski i pomyślna obrona stolicy na przemiany.

Na początku października w Ihnatowicach oczekiwano nowych wiadomości z obawą; przybyła właśnie pani Zarembina uradowana listem od męża, w którym jéj donosi, że zdrów wraz z Raciborskim, że widział się z Kościuszką, ale teraz z pułkiem swoim zdala jest od niego.

Dnia 10 października straszna wichura zadęła, ciemne chmury pokryły niebo. Starzy ludzie wróżyli jakieś wielkie nieszczęście, jakoż w kilka dni przyszła straszna wiadomość, że dnia tego stoczoną została krwawa bitwa pod Maciejowicami i wojsko polskie poniosło klęskę, a Kościuszko ranny wraz z wielu innemi dostał się do niewoli. Temuż losowi uległ i Kniaziewicz. Chorążanka, gdy się dowiedziała o tém, zbladła jak marmur, oczy jéj przygasły, całą noc przetrwała na modlitwie, a nazajutrz chodziła po całym dworze milcząca wzdychając.

Orlewska przybyła tego dnia, złamana wiadomością o Kniaziewiczu. Obie przyjaciółki uściskały się w milczeniu, żadna łza ich boleści serca nie ulżyła.

Zarembina trawiona niepokojem, pospieszyła pierwszych dni listopada do Zahajpola, a w dni kilka na podwórzu z bryczką i sześciu końmi ukazał się Janusz, znowu bez munduru, tylko w kubraku.

Brygida na ten widok mało nie omdlała, zebrała resztę sił i wybiegłszy na ganek, zawołała:

— Januszu gdzie pan? gdzie mój Stanisław?

— Żyje, zdrów i wkrótce tu będzie. Mnie wysłał przodem, a tu mam list do pani.

Brygida upadła na ławkę w ganku, jak przed chwilą przestrach, tak teraz radość odjęła jéj siły. Wróciła do pokoju i odczytała pomyślną wiadomość, że prawdę powiedział stary Janusz.

W parę dni nadjechał Zaremba, ale osmutniały i ponury. Powitał serdecznie żonę, uścisnął syna, który do niego rączyny wyciągnął, ale pieszcząc go, z płaczem mówił:

— Dałem ci imię, mój chłopcze, naszego jenerała, a on daleko się odbił... już go pewno więcéj nie zobaczę, ani uścisnę jego ręki!

— A porucznik nasz Józef? — pyta żona.

— Biedaczysko! niewiem czy żyje! Kula armatnia urwała mu prawą nogę. Leży w Warszawie, daj Boże żeby wyzdrowiał.

— Cóż teraz będziemy robili nieszczęśliwi, mój Stasiu?

— Ha! zawieszę szablę na kołku, a wezmę się do pługa, moja Brygisiu! jak powiedział mi nasz kochany jenerał. Cóż tam się dzieje z chorążanką i z panną Teklą?

— Siedzą, mój Stasiu, w Ihnatowicach z rozpaczą w sercu, bo płakać nie mogą, a łzy jedne, co czyszczą serce z bólu i cierpienia.

Odtąd rotmistrz odetchnąwszy po trudach obozowych, oddał się gospodarstwu i miał w swym smutku i samotności tę pociechę, że odebrał list od Raciborskiego, iż żyje, zdrów zupełnie, choć kaleka. Prosi, aby siwka, którego Janusz przywiózł do Zahajpola, przyjął w darze na pamiątkę, bo już go sam nigdy nie dosiędzie. W dopisku jego żona przyrzekała, że latem będą się starali odwiedzić Rotmistrzostwo z dziatkami swemi, aby poznały małego Tadeuszka.

W Ihnatowicach żałoba: prezesowa z córką i panną Teklą siedziały zamknięte, nie przyjmując nikogo. Żu-

rowski posmutniał, ale wyjeżdżał często w sąsiedztwo dla zebrania jakich wiadomości. Coraz smutniejsze nadchodziły. Wreszcie padła jak piorun wieść o wyjeździe z Warszawy króla i ostatnim rozbiorze kraju.

Prezes za przybyciem do domu wszedł blady, jak trup do pokoju żony.

— Co ci to, Macieju? — zapytała wystraszona żona.

Żurowski nic nie odrzekł, tylko padł na kolana przed obrazem Bogarodzicy i zaczął coraz rzewniéj płakać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kronika warszawska.

Rozpowiadano u nas szeroko i długo, że najpoważniejsza i jedyna w Kongresówce instytucya naukowa: „Szkoła Główna,“ ma być przekształconą na uniwersytet, czyli mówiąc innemi słowami, wykłady miały być uzupełnione, pensye profesorów podniesione do 3000 rs. rocznie, a studenci takie same otrzymać mieli prerogatywy, jak studenci uniwersytetów w Cesarstwie. — Na wieść tę, pessymiści wymownie wzruszali ramionami, umiarkowani czekali, a optymiści widzieli w tém pierwszy krok ku autonomii, na którą, mówiąc nawiasem, ogromnie się zanosiło i zanosi. — Po wizycie jednak ministra oświecenia zmieniła się rzeczy postać. O uniwersytecie nie ma już mowy. I słusznie. Uniwersytet w Warszawie?.. To coś tak brzmi, jak prelekcya o nieśmiertelności duszy na jarmarku. „Komitet urządzający,“ kluby, stowarzyszenie spożywcze, trzeci teatr, koncerta, podatki, to rozumiem, — ale uniwersytet?.. A to po co? A to na co?.. Wreszcie dobrym chęciom staje na przeszkodzie oczywista niemożność. Raz, że nie mamy teraz czasu myśleć o młodzieży garnącéj się do nauki, bo wydajemy „Ustawy opieki“ nad uciśnionemi srodze bydlątkami, powtóre nie mamy pieniędzy; pilniejszy jest nowy ratusz, a odpowiedniejszy dzisiejszym potrzebom i ogólnemu usposobieniu, nowy na polach Grochowskich szpital waryatów; po trzecie, z poważnego bardzo źródła wiemy, że czy się było na uniwersytecie czy nie, można się przecież jako tako ożenić i zostać na starość sędzią pokoju, — a nawet przy szczęściu sztabs-kapitanem.... Przeciwnie, jeżli dobrze pojmujemy całą ważność i doniosłość wychowania publicznego, to Szkoła Główna przeniesioną być powinna do Wilna. Bardzo sprawiedliwie!.. Przewodniczą Szkole Głównéj ludzie pracy i inteligencyi, garnie się do niéj młodzież z całego prawie kraju. A nużby się stał jaki przypadek?.. Nużby wyrósł jaki mąż, któremu byłoby na imię „Czterdzieści cztery“? Nie tentować więc złych losów; a tymczasem poprosić, aby profesorowie raczyli wykładać po moskiewsku, a studenci, choć w innych słuchali językach, byli tak grzeczni, i egzamina w pobratymczéj składali mowie. Profesor nie wykładający będzie usunięty, a student relegowany. — Amen.

* * *

Świetną myśl powziął profesor Szkoły Głównéj F. M. Lewestam — dawania publicznych prelekcyi o literaturze dramatycznéj. Przegląd krytyczny miał sam czytać, a ustępy piękniejsze deklamować p. Królikowski, pierwszy nasz, jak dotąd, dramaturg i najpierwszy, jakiegośmy kiedykolwiek słyszeli, deklamator. Z niewiadomych jednak powodów Królikowski się cofnął. Na naukowéj wartości prelekcye nic przez to nie straciły, ale zginął cały urok, powab uschły wszystkie poetyczne kwiaty, bo Lewestam pięknie włada prozą, ale poezyi czytać nie umie, tak, że ledwie go i to z wielką przykrością słuchać można.

* * *

Rozbiegła się w tych dniach arcy-radośna wieść, że zatwierdzoną została pożyczka miejska. Licząc przeszło 6000 gmachów i średnio po rs. 8000 pożyczki, pojawiłoby się za 50 milionów rubli listów zastawnych. Wymowna cyfra, wypłacona wierzycielom, pozwoliłaby swobodnie odetchnąć obywatelom miejskim, nie najrozkoszniejszy prowadzącym żywot. — Podług bowiem wykazów wiarogodnych 1/1000 część posesyi w Warszawie nie ma długów, a 30% są tak odłużone, że najbujniejsza fantazya poetów wschodnich nic równie ohydnego wymarzyćby nie mogła!... Gdyby Dante znał nasz kraj i dzisiejsze położenie, z pewnościąby zdrajców kraju nie lokował w zamarzłém wieczyście jeziorze, ale pozwoliłby im zostać... właścicielem ziemskim lub domu, przyzwoicie interesami obarczonego... Żadne męki Tantala, żadne piekielne wymysły (choć siedzenie przez całą wieczność na nietającym lodzie do dowcipnie obmyślonych policzyć należy) nie mogą iść w porównanie z cierpieniami szlachcica polskiego. — Począwszy od znikomego parobka, straży ziemskiéj, wójtów, naczelników powiatu i komisyi, a skończywszy na „Komitecie urządzającym,“ wierzycielach hypotecznych i domowych starozakonnych pijawkach, wszyscy dali sobie słowo trapić go niepomiernie. Jeżeli do tego miłego grona dołożymy córki na wydaniu, i... zaraza na kartofle, zięciów dopominających się o posag i... księgosuszy, zły wydatek okowity i... politykę, nieurodzaj i podatek gruntowy, przyjaciół prywatnych i urzędowych, składkę ogniową i prenumeratę pism, przekonamy się, że lepiéj stokroć byłoby siedzieć na lodzie, lub gorzeć w otchłaniach piekielnych.

Alf.

ROZMAITOŚCI.

Nowe zastósowanie przyrządu fotografiaznego.

Niedawno temu uwięziono w Odesie kilka osób podejrzanych o podpalenie; pomiędzy niemi znajdowała się także kobieta. Dla policyjnéj kontroli, jak to teraz często w takich razach się praktykuje, miano ją fotografować. Kobieta, która przyrządów fotograficznych nigdy jeszcze nie widziała, przypatrywała się z przestrachem ustawieniu aparatu, a zwłaszcza zarzucone na nim sukno czarne pomnażało jéj trwogę. Sądziła ona, że to niechybnie krwawe narzędzia wyroków sprawiedliwości. To też gdy fotografista kazał jéj stanąć cicho i nie ruszać się z miejsca, a potém, żeby pochwycić obraz jéj, mosiężną oprawę ogniska odsłonił i na nią wymierzył, kobieta sądząc, że już nadeszła ostatnia jéj chwila, krzykła: „Łaski, łaski! ja chętnie wyznam wszystko.“ I tak zbrodnia, dzięki przyrządowi fotograficznemu, od razu wykrytą została — a sędziowie bez długich śledztw, badań i sprawozdań z spokojném sumieniem mogli ukarać zbrodniarzy wedle paragrafów kodeksu karnego.

Srogo ukarane zaloty.

Pan Andreoli, który spędził kilka łat na wygnaniu w Syberyi, opowiada w swych wspomnieniach z Rosyi pomiędzy innemi następujące zdarzenie, którego początek sięga panowania cesarza Pawła, a koniec już do naszych czasów należy. Cesarz Paweł miał stósunek miłosny z młodą francuzką aktorką — a był strasznie zazdrosnym. Pewnego wieczora wyprawił on wielki bal w cesarskim pałacu; w licznem gronie dostojnych gości znajdowała się także i jego luba. Cesarz miał ją ciągle na oku i najmniejszy ruch jéj nie uszedł jego uwagi. To też spostrzegł wkrótce, że jakiś szlachcic młody, nazwiskiem Labanow, zbyt często koło niéj się kręcił i szczególniéj dla niéj był uprzejmym. Cesarz zachował zrazu wesoły humor na pozór, atoli pod koniec balu wydał rozkaz, aby Labanowa zaaresztować i wsadzić do cydadeli. Chciał on prawdopodobnie tylko przez kilka dni trzymać go w zamknięciu, by go potém z ojcowskiem napomnieniem wypuścić na wolność, a w najgorszym razie, gdyby nie ostygł w swych czułych afektach, przesiedlić gdzie daleko od siebie. Tymczasem zapomniano jakoś o Labanowie. Po Pawle nastąpił, jak wiadomo, Aleksander pierwszy. Lecz tak ten, jak i jego następca nie troszczyli się o nieszczęśliwego więźnia. Po zgonie cesarza Mikołaja wypuścił „dobrotliwy i wspaniałomyślny“ Aleksander II wszystkich więźniów bez wyjątku na wolność. Wtedy to otworzono także w głębokiém i odosobionem podziemiu celę, 6 stóp tylko długą i pięć wysoką, a w niéj znaleziono starca, którego strasznie wynędzniała postać napełniła oswobodziciela zgrozą i politowaniem. Przeżył on trzech carów i dopiero czwarty wrócił mu wolność, którą dla kilka czułych spojrzeń postradał. A jaki był ten żywot jego! Przez lat pięćdziesiąt marniał w ciemnym i brudnym lochu — za niskim, aby się mógł cały wyprostować i za małym, aby mógł ruchu używać. To też gdy go wypuszczono, nie mógł on ani chodzić, ani mówić, a oczy jego, przywykłe do wiecznéj ciemności, nie mogły znieść światła słonecznego. I krótko też używał odzyskanéj wolności — w ósmym już dniu bowiem żywota dokończył... Ex uno disce omnia. W.

Majtek spadł z masztu i złamał nogę. Chwała Bogu! zawołał, żem karku nie złamał.

Kuchcika swego spostrzegł król francuski Ludwik XI, a że podobał mu się z wierności i zręczności, zapytał go się: co ty dostajesz? Stół, stancyą i przyodziewek, odrzekł kuchcik. To niepodobno, zawołał król, to za mało! A Wasza Król. Mość co ma więcéj? zapytał się króla i poszedł.

Bogacz wpadł w wodę i byłby utonął, gdyby go biedak w czas nie wydobył. Wynagradzając jego usługi daje mu bogacz całą złotówkę. Czy to Pan tylko tyle znaczy? zapytał go się biedak. Zrozumiał to bogacz i mimo swego skąpstwa obdarzył go lepiéj.

Mendelsohn, jak wiadomo, był w przeszłym wieku jednym z pierwszych uczonych i mieszkał w Berlinie. Spotkał się z nim w towarzystwie wielki pan starego rodu i znacznego majątku, ale nader prostéj głowy, iż z pewnością prochu by nie wymyślił; dowiedziawszy się, że Mendelsohn jest żydem, chciał sobie z niego zadrwić i zapytuje go się, czém handluje? Mendelsohn spokojnie mu odpowiada: wybacz Pan, że nie powiem, bo i tak Pan tego nie nabędzie. Ale cię proszę, powiedz, czém handlujesz, dom ciekawy. — Gdy pan tak mnie nalega, to Panu oświadczam, że rozumem.

Ile lat służysz? zapytał się oficer żołnierza. —19 lat, odrzekł żołnierz. To niepodobna, zawołał zdziwiony oficer, a ile masz lat? 22, była odpowiedź żołnierza. Jakże to być może? — Bardzo łatwo, bo 5 lat służyłem do gęsi, 4 lata do trzody, 3 lata do bydła, 5 do koni, a 2 lata w wojsku, czyli razem 19 lat.

Zakładamy w naszém mieście ochronkę, prosimy więc Wielmożnego Pana o składkę, datkiem swym zjednasz pan sobie wdzięczność biednych dzieci i potomności — tak proszono bogatego Pana, ale skąpca bez granic. A dajcie mi pokój — odrzekł spokojnie — co mi do potomności? ja dla niéj nic nie dam, bo potomność dla mnie jeszcze nic nie uczyniła.

Proszę Pana, kto też proch wynalazł? — pytał się młody chłopiec przyjaciela swoich rodziców, który ich często odwiedzał. Owszém mój synu, dobrze żeś ciekawy w naukach. Oto proch wynalazl Berthold Szwarc, Franciszkanin, przed 500 laty; ale powiedz, mi mój synku, czemuż się o to pytasz? Bo mój ojciec, proszę Pana, bardzo często powtarza, że pan prochu nie wynalazł.

Dzisiaj nie możesz iść do szkoły, bo pada mocno i daleko, rzekł ojciec do syna. A jutro, mój ojcze? Jeżeli tak padać będzie, to też nie pójdziesz. — Rano była śliczna pogoda, ojciec wstał rychło i widzi, że chłopiec psu trawę daje. A co ty tutaj tak rano robisz? zapytał go się ojciec - po co psu dajesz trawę? — Bom słyszał, proszę ojca że gdy psy jedzą trawę, to padać będzie; daję mu zatém trawę, aby padało i jam nie potrzebował iść do szkoły.

Radzili w mieście panowie radzcy bardzo długo, tak że jeden z nich spóźnił się na obiad. Żona ciekawa pyta go się, co takiego radzili, ale p. radzca nie chce wydać tajemnicy, boby zdradziła, a to rzecz wielkiéj wagi. Żona się zaklina na wszystkie świętości, że będzie trzymała język za zębami, a gdy i to nie pomaga, zżyma się, gniewa i dąsa i ani nie chce patrzeć na męża. Biedny małżonek idzie po rozum do głowy i powiada jéj pod wielką tajemnicą, że właśnie teraz radzą, czy lepiéj, żeby mąż miał dwie żony, czy żona dwóch mężów. Gdy się znowu panowie radzcy ześli na radę, żony obstąpiły dom ich obrad i wrzeszczą jak szalone: lepiéj dwóch mężów, jak dwie żony. Nikt nie wie, co się stało, p. burmistrz myśli, że kobiety naraz odeszły od rozumu, a co najgorsze, że i pani burmistrzowa pomiędzy niemi, a nawet réj wiedzie. Dopiero po długich korowodach mąż owéj ciekawéj niewiasty, która była tego rozruchu powodem, przyznaje się, że on tego figla spłatał, powierzając swéj żonie tak wielką tajemnicę. Powstał śmiech wielki, a pan burmistrz głośno wyrok rady ogłosił: Jak było, tak będzie! jeden mąż, jedna żona.

X. S. T.

Szarada.

Chociaż młodsza w sióstr mych rzędzie,
Lecz prześcigam już je wszędzie;
A choć własne dzieci żywię
I siostrzeńców też życzliwie,
Jak w rodzinnym witam domu,
Gdzie niecjasno jest nikomu.
Od niesłusznéj czwartéj — trzeciéj,
Twardéj, srogiéj matki dzieci,
Gdy niewola już im zbrzydła,
Tulą się pod moje skrzydła.
Pierwsze, czwarte, w alfabecie
I wspak drugie; więc zgadniecie.

(Rozwiązanie szarady w nr. 11: **Żur, Ruż**.)

PUSZKA DO LISTÓW.

Panu —h—: Dziękujemy za 6 dobrych szarad i życzliwe, chociaż cierpkie uwagi o „zgłoskówkach.“ Główny zarzut upada, bo szarada w nr. 10 nie oznacza: „oświadczenie.“ Możebyś Pan filipikę swą przeciw monce i korczycy zechciał przerobić na osobny artykulik, który jak najchętniéj umieścimy. W ogóle miłoby nam było, gdybyś Pan z obozu krytyków przeszedł do współpracowników. — Pan St.n w Inowr.: Bardzo prosimy o opis i fotografią. Panu N. K. na Pokuciu: Chętnie użyjemy. — Panu T. z P. Zbyt zawikłane. — Panu Wodn. w Sulm. Ponieważ list się zarzucił, dopiero dziś odpowiadamy. Oba krajobrazy i artykuły byłyby nam bardzo pożądane. Panu Józ. Th.: Zbyt naiwne. — P. Stanisławie Nie — kruczek: Pocóż nas Pan mystyfikujesz? Z pod damskiego pióra taki wiersz by nie wypłynął!! — Panu Apo. na Pokuc. Jeszcze nie dosyć wyrobiony talent.

Redaktor odpowiedz.: M. Leitgeber w Poznaniu.—Nakładem Księgarni M. Leitgebra w Poznaniu. — Czcionkami L. Merzbacha w Poznaniu.